

# Człowiek do medialnego odstrzału

3 sierpnia 2013

Prezydent Wenezueli Hugo Chávez zawsze był lekceważony i lżony przez wielkie media. Jego śmierć stała się dla nich okazją do podwojenia dawki.

„Zabijaka Chávez nie żyje” – tak brzmiał nagłówek w „New York Times”, podczas gdy „Time” świętował „śmierć demagoga”, a w „ABC World News” z zadowoleniem obwieszczono, że „naród Wenezueli nie znajduje się już pod silną kontrolą swojego prezydenta, Hugo Chaveza” (6 marca br.) Dzień wcześniej ten sam kanał telewizyjny poinformował, że „wielu Amerykanów postrzegało go jako dyktatora”, ale już nie poinformował, kto urobił mu taką opinię. Aby to sobie uświadomić, wystarczyło posłuchać Michaela Shiftera, zawodowego opluskwiacza Chaveza i osobnika skądinąd znanego jako chodzący konflikt interesów. Na falach National Public Radio to do niego należało ostatnie słowo. Stwierdził: „Tak więc, koniec końców, on naprawdę był samowładcą i despota” (5 marca br.).

Jedna jaskółka nie czyni wiosny. We Francji Bernard-Henri Lévy skupił się na łamach Le Point na „chorobliwym antysemityzmie” byłego prezydenta (14 marca br.). Laureat literackiej nagrody Nobla, Mario Vargas Llosa, który za życia Chaveza wpisywał go na łamach madryckiego El País w tradycję latynoamerykańskich caudillos – „tych przerażających pajaców z krwią na rękach, oszustów rozkoszujących się próżnością, którą napełnia ich serwilizm i pochlebstwo otoczenia” (3 października 2010 r.) – teraz, w tym samym duchu i w tym samym dzienniku, określił go jako „krzyżówkę nadczłowieka i bufona” (10 marca br.).

Jeden z głównych zarzutów, stawianych Chavezowi w wielkich mediach, brzmi: zamiast pompować rentę naftową do prywatnych kieszeni, trwonił ją na zbędne wydatki – na edukację, ochronę

zdrowia i programy żywnościowe, z których korzyści, jak „doniosła” agencja Associated Press w depeszy godnej pisma satyrycznego, „były nikłe w porównaniu ze spektakularnymi projektami budowlanymi, napędzanymi bogactwami naftowymi w lśniących miastach bliskowschodnich, takimi jak najwyższy na świecie budynek w Dubaju i jak plany budowy w Abu Zabi filii muzeów w Luwrze i w Guggenheimie” (5 marca br.). Wiadomo – po co zawracać sobie głowę żywieniem ludzi, gdy można budować drapacze chmur?

W artykule wstępnym w „Wall Street Journal” zgromadzono niemal wszystkie działa retoryczne, z których ostrzeliwały Chaveza wielkie media. Zmarły prezydent Wenezueli był „klasycznym dyktatorem petrodolarowym”, „charyzmatycznym demagogiem”, a wyznaczony przez niego następca zapewni, iż „Chaveza przeżyje zapoczątkowana przezeń kombinacja błazenady i rozboju”. Wydawcy tego dziennika tak oto skwitowali niezwykły sukces, którym okazały się wenezuelskie programy socjalne: „Mimo populizmu i państwowego rozdawnictwa, warunki życia w Wenezueli – zwłaszcza dla biedoty – uległy jedynie pogorszeniu” (6 marca br.).

Kilka miesięcy wcześniej, na France 2, David Pujadas twierdził, że w Wenezueli „80% społeczeństwa ciągle żyje poniżej progu ubóstwa” (3 października 2012 r.). Przekręt informacyjny był tak ordynarny, że wprawił ten kanał publiczny telewizji francuskiej w zakłopotanie i w tydzień później poczuł się on zmuszony do jego sprostowania. Wspomniany już El País nie grzeszy taką elegancją, toteż po opublikowaniu informacji o tym, że za prezydentury Chaveza „nie zmniejszyły się” nierówności społeczne (5 października 2012 r.), sprostowania nie opublikował. Według Komisji Ekonomicznej ONZ do spraw Ameryki Łacińskiej i Karaibów, stopa ubóstwa zmalała do 2010 r. (z którego pochodzą ostatnie dostępne dane) o 30%. W ciągu minionego czternastolecia Wenezuela stała się najmniej nieegalitarnym krajem w regionie.

Zdaniem „New York Times”, Chávez pozostawił po sobie „głęboko

podzielony naród”, gdyż jego prezydentura „pogłębiła podziały społeczne” (5 marca 2013 r.). W korporacyjnym słowniku medialnym określenia w rodzaju: „sprawca podziałów” są zastrzeżone wyłącznie dla tych, którzy rzucają wyzwania systemom władzy, dążąc do redystrybucji bogactw – a nie dla tych, którzy sprawują władzę ekonomiczną i toczą odgórne wojny klasowe.

Media północnoamerykańskie nigdy nie dały Chavezowi szansy. Reporter „New York Times” w Ameryce łacińskiej, Larry Rohter, tak podsumował jego pierwsze zwycięstwo wyborcze: „Jak Ameryka łacińska długa i szeroka, prezydenci i przywódcy partyjni oglądają się za siebie. 6 grudnia swoim miażdżącym zwycięstwem w wyborach prezydenckich w Wenezueli Chávez ożywił dobrze znane widmo, które elita panująca regionu uważała za raz na zawsze pogrzebane: widmo populistycznego demagoga, autorytarnego mężczyzny na koniu, znanego jako caudillo” (20 grudnia 1998 r.).

Niezależnie od dziwacznych fantazji w rodzaju przytoczonej – że latynoamerykańskie „elity panujące” są przeciwne samowładztwu – dla mediów północnoamerykańskich Chávez od początku był pajacowatym caudillo, składającym odrażające oświadczenia, wywołującym skandale, rujnującym gospodarkę, fałszującym wybory i depczącym prawa człowieka. To, że był to „głęboko antydemokratyczny (...) silny człowiek”, jak określono go po śmierci na łamach „Daily Beast” (7 marca br.), było dla nich oczywiste. To zaś, że nieustannie pokonywał on opozycję w demokratycznych wyborach, które były prezydent Stanów Zjednoczonych, Jimmy Carter, określił jako „najlepsze na świecie”, nie miało dla nich żadnego znaczenia. Londyński tygodnik Economist mógł więc bić na alarm, że Wenezuela „dryfuje w stronę dyktatury” (23 września 2010 r.) i cieszyć się z powodu dojścia do władzy we Włoszech Mario Montiego, zaznaczając, że „pilotuje on rząd ‘technokratyczny’, którego żaden członek nie został wybrany” (21 stycznia 2012 r.).

W rządach Chaveza zawsze było co krytykować – podobnie jak to

jest w przypadku każdego rządu. Obserwujący media zespół Fairness and Accuracy in Reporting (FAIR), w którym działałam, kilkakrotnie wyrażał zaniepokojenie z powodu prób cenzurowania przez władze wenezuelskich mediów, podkreślając jednocześnie, że w kraju istnieją krzepkie media opozycyjne. Przypadek sędzi Maríi Lourdes Afiuni, wtrąconej do więzienia za to, że uwolniła osobę, którą przez prawie trzy lata więziono bez procesu, świadczy, że wenezuelskie państwo prawa nie jest wolne od pokus autorytarnych.

Problemem nie jest zatem krytyka. Rozliczanie tych, którzy sprawują władzę, to rzecz nieodzowna – i kropka. Sęk w tym, że media północnoamerykańskie i w ogóle zachodnie, piętnując niedomagania występujące w Wenezueli, abstrahują od kontekstu i stosują podwójne standardy. W opublikowanym w lutym 2009 r. studium artykułów wstępnych, poświęconych prawom człowieka w gazetach północnoamerykańskich, FAIR wykazało, że Wenezuelę przedstawia się w nich jako kraj, w którym pod tym względem dzieje się gorzej niż w niezwykle represyjnej Kolumbii – u najbliższego sojusznika Stanów Zjednoczonych w regionie. W Wenezueli za rządów Chaveza dziennikarze czy działacze związkowi i polityczni nie bali się, że zostaną uprowadzeni, poddani torturom i zamordowani, gdy tymczasem w Kolumbii dzieje się tak na porządku dziennym. Nie można jednak oczekiwać, że dziennikarze północnoamerykańscy będą stosowali standardy rzetelności i bezstronności, pracując dla mediów, które służą polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych.

Na łamach postępowego tygodnika północnoamerykańskiego „Nation”, historyk z Uniwersytetu Nowojorskiego Greg Grandin wskazał, że w Wenezueli jest co najwyżej 11 więźniów politycznych, i to przyjmując szerokie kryterium, którym posługuje się opozycja i które obejmuje uczestników zamachu stanu w 2002 r. (5 marca br.). Może nawet jeden więzień polityczny to za dużo, ale represje polityczne, w tym przemoc państwowa, ogromnie zmalały za prezydentury Chaveza. W raporcie pt. „Protest polityczny w Wenezueli: Nowości i

ciągłości", opublikowanym w czasopiśmie „Latin American Perspectives”, stwierdzono, że „prawo do protestu cieszy się tam coraz większym uznaniem i zostało zinstytucjonalizowane” (marzec 2005 r.).

Jednym z najważniejszych zadań zachodnich propagandzistów z dziennikarskimi legitymacjami jest wykazywanie, że chavezowska Wenezuela to katastrofa gospodarcza. Trudno wywiązać się z tego zadania, bo kraj ten wcale tak źle nie wygląda, w porównaniu ze wskaźnikami, które w oczach owych propagandzistów wcale nie świadczą o katastrofie, gdy mowa jest o państwach, których Stany Zjednoczone nie uważają za swoich wrogów.

To prawda, że inflacja jest tam wysoka, że kraj cierpi na niedostatek infrastruktury, że nadmiernie zależy od swojego przemysłu naftowego i że w przemyśle tym występują rozmaite niedomagania. Po tym jednak, jak Wenezuela wydobyła się z dna, w którym znalazła się w 2003 r. w wyniku rujnującego kraj antychavezowskiego lokautu, zorganizowanego przez opozycję do spółki z administratorami tego przemysłu, utrzymała ona roczny wzrost gospodarczy przeciętnie na poziomie 4,3% oraz zmniejszyła ubóstwo o 50%, a nędzę aż o 70%.

W 2012 r. stopa wzrostu gospodarczego Wenezueli wyniosła 5,8%, a stopa bezrobocia spadła do 6,4% – o połowę odkąd Chávez doszedł do władzy. Umieralność niemowląt spadła o 30%. W 2005 r. UNESCO uznało Wenezuelę za „terytorium wolne od analfabetyzmu”. To wszystko nie przeszkadzało redakcji Washington Post pisać o „katastrofalnej sytuacji gospodarczej”, spowodowanej przez Chaveza, ani oskarżać rewolucji boliwariańskiej o to, że „zrujnowała kwitnący niegdyś kraj” (5 stycznia 2013 r.).

W opublikowanym w „New York Times” reportażu o kłopotach życia codziennego w Wenezueli wyjaśniono, że Chavezowi udało się utrzymać przy władzy dlatego, iż pozyskał „znaczną większość społeczeństwa swoją nietypową osobowością, niepohamowanym

wydatkowaniem zasobów państwowych i umiejętnością przekonania Wenezuelczyków, że zapowiadana przez niego rewolucja socjalistyczna sprawi, iż będzie im się lepiej żyło” (13 grudnia 2012 r.). Tak, jakby lud, który sam widzi, że lepiej mu się żyje, trzeba było o tym prostym fakcie przekonywać.

Miesiąc później na portalu „ABC News” Stephen Keppel, redaktor ekonomiczny hiszpańskojęzycznej sieci telewizyjnej Univisión, opublikował artykuł pt. Pięć sposobów, w jakie Hugo Chávez zniszczył gospodarkę wenezuelską (17 stycznia 2013 r.).

Skąd bierze się ta zaciekleść, z jaką demokrację boliwariańską prezentuje się jako ponurą dyktaturę? Z przywiązania do zachodniego modelu demokratycznego? Gdyby tak było, to media północnoamerykańskie, poczynając od New York Times, nie okłaskiwałyby z zapałem zamachu stanu, w wyniku którego na chwilę obalono Chaveza w 2002 r., i zajęłyby się przeżartym korupcją systemem wyborczym w swoim własnym kraju. Z troski o prawa człowieka? W takim razie poświęciłyby się piętnowaniem naprawdę godnych napiętnowania reżimów, wśród których przytłaczającą większość stanowią sojusznicy Stanów Zjednoczonych.

Wielkie korporacje medialne nie napadały tak na Chaveza dlatego, że zrujnował gospodarkę wenezuelską, lecz dlatego, że starał się, aby bogactwo tego kraju służyło społeczeństwu – co mu się udało. Tego nie mogły mu wybaczyć. Lżyły Chaveza za jego cnoty, a nie grzechy.

Autor: Steve Rendall

Tłumaczenie: Zbigniew Marcin Kowalewski

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

## **O AUTORZE**

Steve Rendall – Członek północnoamerykańskiego obserwatorium mediów Fairness and Accuracy in Reporting (FAIR).